

Ihar Babkou

Tłumaczenie z języka białoruskiego: Kseniya Tarasevich

O rybach i o ludziach

1. Wojna i pokój

Istnieje pogląd, że filozofia czyni rzeczy bardziej skomplikowanymi, niż są one rzeczywiście. Istnieją też inne: rzeczy same w sobie nie są nam znane, więc filozofia przedstawia je bardziej skomplikowanymi, niż się wydają zwykłemu człowiekowi.

W niektórych kwestiach jednak chcemy mieć jasność. Zacznę więc od definicji.

Mówiąc „russkij mir”, mamy na myśli pewną doktrynę ideologiczną i charakterystyczne dla niej praktyki państwa rosyjskiego, które, choć ujawniły się w latach 2014–2015, czaiły się w sferach polityki i kultury przez ostatnie dziesięciolecie. Zwykle bierzemy ten nowy „russkij mir” w cudzysłów, podkreślając w taki sposób jego odrębność od ideologicznego sensu terminu z poprzedniego okresu, kiedy dotyczył on „kulturowego i ekonomicznego wsparcia rodaków poza granicami Rosji”, a także od ogólnego sensu wyrażenia, które tak naprawdę może oznaczać cokolwiek (w tym piękną utopię kultury rosyjskiej ponad barierami, granicami i władzami).

Dzisiejszy „russkij mir” wyraża się w praktykach brutalnego i agresywnego neoimperializmu, skierowanego przede wszystkim przeciwko najbliższym sąsiadom. Zawiera on w sobie pewną ogólną, „geopolityczną” wizję świata. Obraz przyszłości człowieczeństwa, w której silni władcy świata skutecznie i bezkarnie dzielą między siebie zasoby i terytoria. Główną konceptualną emocją leżącą u podstaw „russkowo mira” jest postkolonialny resentyment, który wydobywa

się na powierzchnię pod postacią pretensji: „dlaczego Rosji nie lubią?”, „dlaczego interesy Rosji nie są brane pod uwagę?” oraz „dlaczego o Rosji zapomniano?”. Dlatego wojny na peryferiach i próby destabilizacji globalnego porządku nie są ważne same w sobie, lecz tylko jako sposób umożliwiający Rosji wejście do nowego wspaniałego świata, w którym ona również będzie miała „swoje prawa”. Prawo do wojny. Do kłamstwa. Do morderstw i aresztowań dysydentów. Do cynicznej ignorancji opinii publicznej. Do nowego wspaniałego świata, w którym dzięki temu Rosja będzie się „liczyć”.

Ten postkolonialny resentyment dojrzał już od dawna, a jego symptomy można prześledzić od drugiej połowy lat 90. ubiegłego wieku. Jednak przejście do brutalnej i agresywnej fazy odbyło się tak nagle i nieoczekiwanie, że zszokowało intelektualistów – zarówno rosyjskich, jak i europejskich. Nawet dzisiaj, prawie dekadę później [od aneksji Krymu – przyp. red.], nie potrafimy przypomnieć sobie żadnej analizy niemieckiej lub francuskiej, w której zamiast opisywać przebieg wydarzeń i obarczać winą, starano by się dociec, co kryje się za koncepcją „ruskowo mira”, ale dostrzec za ideologiczną koncepcją pewien rodzaj myślenia i zrozumieć, jak on działa. Zidentyfikować leżące u ich podstaw wzorce i koncepcje oraz wreszcie postawić pytanie o nową epokę, w którą wyraźnie wpakowaliśmy się z naszych wesołych postmodernizmów i o wiele mniej wesołych postkomunizmów.

Żadnego tekstu, który zawierałby krytyczną refleksję albo nawet dekonstrukcję praktyk myślenia imperialnego, a nie wyłącznie kalkulację ryzyka i konsekwencji. Bo imperium przede wszystkim wydarza się w myśleniu, w głowach i tekstach, i dopiero potem zaczyna działać w rzeczywistości politycznej i ekonomicznej. Imperium to nie tylko wojska, służby specjalne, administracja kolonialna, ale również wartości, emocje, kody kulturowe, obraz świata narzucany jako uniwersalny.

Co ważniejsze, we współczesnej intelektualnej przestrzeni Europy brakuje nie tylko pogłębionych tekstów. Brakuje miejsc, w których mogłaby zaistnieć taka refleksja. Oraz języka, z użyciem którego owa krytyczna refleksja mogłaby nastąpić.

Wydaje się to dziwne, ponieważ przez całe XX stulecie obserwowaliśmy w Europie nadprodukcję teorii krytycznej. Natomiast dzisiaj rozumiemy bez dodatkowych argumentów: ani hegemonia neomarksistów, ani przedstawiciele szkoły frankfurckiej, ani symulakry Jeana Baudrillarda, ani nawet cyniczne rozumowanie Petera Sloterdijka czy jarmarczny lacanizm Slavoj Žižka nie są w stanie opisać nowej rzeczywistości, jaką obnażyły wojna rosyjsko-ukraińska i rewolucja białoruska.

I teraz jesteśmy gotowi ogłosić prawdę: nie rozumiemy, co się z nami dzieje, w jaką epokę weszliśmy.

Tutaj pojawia się pokusa, by powiedzieć, że jedną z takich przestrzeni refleksji, z których widać przyszłość, jest dziś pogranicze wschodnioeuropejskie.

Językiem zaś, który pozwala konceptualizować nową epokę, mogą być języki białoruskiej i ukraińskiej teorii postkolonialnej, które opisują doświadczenie zerknięcia się z imperium. Przetrwania w tym starciu. Obrony swojej podmiotowości i odmienności.

Bo właśnie to zaskakuje najbardziej: mimo dwóch stuleci nieustannego funkcjonowania imperium pogranicze wschodnioeuropejskie nie tylko nie zniknęło, nie rozpuściło się w tyglu imperium i narodu sowieckiego, lecz przeciwnie – umocniło się w swojej paradygmatycznej inności.

I dziś występuje nie tyle jako lokalność, ile jako realna alternatywa konceptualna dla „russskowo miru”.

Kiedys Milan Kundera w klasycznym tekście o tragedii Europy Środkowej przeciwstawił paradygmat „maksimum różnorodności na minimum przestrzeni”, nazwany środkowoeuropejskim, paradygmatowi „minimum różnorodności na maksimum przestrzeni”, który dotyczył wówczas ZSRR.

Moglibyśmy powiedzieć, że pogranicze wschodnioeuropejskie to nie tylko kwestia obrony Ukrainy czy poparcia białoruskiej rewolucji – to przede wszystkim kwestia obrony różnorodności. To wojna o różnorodność. Kunderowa wojna Europy Środkowo-Wschodniej.

W Białorusi tradycja krytycznej dekonstrukcji wschodniego sąsiada ma długą historię, zakodowaną w podstawowych mitach tożsamościowych, i można powiedzieć, że zaczyna się w tym samym czasie, co „projekt Białoruś”. Nie jest to po prostu standardowy projekt powstania narodu z istotnym komponentem społecznym (wyzwolenie wsi białoruskiej), lecz projekt o charakterze wyraźnie antykolonialnym (takie wyzwolenie nie jest możliwe bez demontażu struktur ucisku imperialnego).

Począwszy od Adama Mickiewicza, który jako pierwszy w lokalnej tradycji zaczął krytykować imperium (przede wszystkim w *Dziadach*, ale też w *Księgach narodu polskiego* oraz w utworach publicystycznych z lat 30. XIX w.), przez Jankę Kupalę, którego *Tutejszych* można podać jako przykład utworu badającego traumę kolonialną, Ihnata Abdzirałowicza i Włodzimierza Samoję, którzy ukształtowali specyficzną metafizykę białoruskiej anty- i postkolonialnej podmiotowości, a skończywszy na klasycznym tekście Zianona Pazniaka *O imperializmie rosyjskim i jego zagrożeniach* i całym nurcie postkolonialnej analizy końca lat 90. – lokalni intelektualiści ciągle zadają istotne pytania i za każdym razem proponują nowe wersje odpowiedzi.

Czasem wydaje się nawet, że w kulturze jest już za dużo tego wszystkiego. I głównym zadaniem jest obecnie „zapomnieć o imperium”, wrócić wreszcie do normalności, pamiętać, że „wszyscy razem lecimy do gwiazd”.

Ale gdy tylko intelektualiści próbują tego dokonać, historia zatacza koło i znowu jak w Dniu Świstaka budzimy się w jednym łóżku z imperium, z udręką przypominamy sobie wczorajszy dzień i próbujemy zrozumieć, jak tym razem wszystko się skończy.

Pionierem w dostosowaniu zachodniej teorii postkolonialnej do pogranicza wschodnioeuropejskiego stała się diaspora ukraińska. Australijczyk Marko Pavlyshyn, Amerykanka Oksana Grabowicz oraz inni stworzyli na początku lat 90. pierwsze teksty wyraźnie pokazujące, że Frantz Fanon, Edward W. Said, a nawet Homi Bhabha – to wszystko jest również o nas. Natomiast ukształtowanie teorii lokalnej zawdzięczamy dwóm kijowskim intelektualistom: Oksanie Zabużko i Mykole Riabczukowi. To właśnie oni wyprowadzili postkolonializm z akademickiego getta, przekształcając go w logikę i strategię kultury, w politykę kulturalną. Konceptualnie Ukraina już od lat 90. była gotowa na sytuację „po imperium”.

Sytuacja rosyjskiego środowiska intelektualnego jest mniej pocieszająca. Jedynie trzy przykłady.

W 2006 roku w Moskwie ukazało się drukiem rosyjskie tłumaczenie książki Saida *Orientalizm*. Wydawnictwo publikujące książkę nosiło nazwę Rosyjski Pokój. We wstępie podkreślano, że Palestyńczyk Said krytykuje Zachód i w tym sensie jest jeśli nie sojusznikiem, to na pewno „towarzyszem” naszego imperium. Jedyna rzecz, o której nie wspomniano: książka Saida przyczyniła się do zaistnienia jednego z najbardziej potężnych i skutecznych dyskursów, w którym wszystkie imperia występują jako obiekt krytyki i dekonstrukcji.

W tymże 2006 roku w Petersburgu laboratorium Zitiankowskiego przy Wielkim Teatrze Dramatycznym wystawiło sztukę *Translations* Briana Friela. Autor rosyjskiej wersji Michaił Stronin przetłumaczył tytuł jako *Potrzebne jest tłumaczenie*. Ten utwór Friela od dawna analizuje się na uniwersytetach jako postkolonialny klasyk. Pokazuje, jak władza imperialna na siłę przekształca przestrzeń, przelamując nie tylko geografię i tradycję kulturową, ale też życie zamieszkujących ją ludzi. I w tym sensie nie może być bardziej nietrafnej interpretacji jego przesłania niż „potrzebne jest tłumaczenie”.

Wreszcie w 2011 roku w Cambridge ukazuje się drukiem książka Alexandra Etkinda *Kolonizacja wewnętrzna: imperialne doświadczenie Rosji*, której autor stawia sobie za cel dostosować aparat postkolonializmu do historii Imperium Rosyjskiego. Powiem od razu, z całą sympatią i szacunkiem do autora, a także mając na uwadze inne walory tej książki: część postkolonialna stanowi jednak totalną porażkę. Autor od razu wychodzi z kolonialnego założenia, że „to wszystko Rosja, która kolonizuje samą siebie”, marginalizując i wypierając nie tylko inną optykę pojęciową, ale też wszystkie narody i terytoria, które „miały szczęście” znaleźć się wewnątrz [imperium – przyp. red.].

Wymienione trzy przykłady są istotne dla zrozumienia rosyjskiego środowiska intelektualnego ostatnich dziesięcioleci. Moim zdaniem łączy je wspólny mianownik: demonstrują jedną logikę kultury, jeden typ myślenia.

Wszystkie trzy są przykładami niespotkania się. Nie tylko z Saidem, Frielem i postkolonializmem akademickim. Ale przede wszystkim niespotkania się ze swoimi najbliższymi sąsiadami: z Białorusią i Ukrainą.

2. Ryby i ludzie

„Nie jestem rybą, jestem ichtiologiem” – zaznaczył prelegent.

To był żart z pracy. Siedzieliśmy na zamkniętym spotkaniu na Zoomie, na seminarium, omawialiśmy raport o rewolucji białoruskiej. Był stosunkowo krótki. Pierwsze pół godziny o socjologii kultury (żeby stworzyć aparat badawczy). Potem dziesięć minut o sierpniu 2020 roku (żeby przypomnieć kontekst). Na końcu założenie: to była rewolucja widowiskowa. Nie miała żadnych społecznych czy politycznych treści poza własną fenomenalną performatywnością. Naród po prostu pokazał siebie. Wyszedł na scenę historii. Pospacerować jej uliczkami i zaułkami.

Zapomniałem języka w gębie. A potem omal nie wybuchnąłem w ataku hysterii. Nie tylko dlatego, że wszystko, co powiedziano, było prawdą: dokładnie tak zrobiliśmy. Lecz była to teza, od której warto rozpocząć refleksję. Postawić pytania. Prelegent zaś kończył nią swój wywód i dalej zamierzał myśleć tylko o tym, jak i gdzie opublikować wyniki badań.

Zresztą nie można było mieć pretensji. Prelegent był ichtiologiem.

Tutejsi ichtiolodzy miewali cudowne dni. Zasłużyli na nie. Przez dziesięciolecia nie poświęcano im należytej uwagi. Białoruś jako obiekt badawczy istniała gdzieś na peryferiach. Ostatnia dyktatura, odnarodowiony naród. Dziwne, że w ogóle żyjecie. A potem nadszedł rok 2020 – i wszystko się ułożyło.

Teraz oni przygotowywali raporty i referaty, organizowali konferencje, publikowali zbiory artykułów. Rewolucja stała się modnym tematem. Do tego wyraźnie się skończyła, dobiegła końca, stała się martwym obiektem. Można uzupełniać monografie bez obawy, że finał podważy wnioski.

Z rybami było gorzej. Nie mieliśmy tak optymistycznego samopoczucia.

Na naszych oczach w drobny pył roztrzaskały się próby zrozumienia, co się z nami dzieje. Prowadziliśmy seminarium od samego początku i przeszliśmy w nim przez

wszystkie etapy: zaczynając od euforii i wzniosłości pierwszych spotkań, przez chęć poznania w kulminacyjnym momencie, na trwodze i depresji czasów pogromu kończąc.

Na początku powstawały pomysły i schematy dotyczące wszystkich, wydawało się, że jeszcze trochę i zrozumiemy. Potem zaczęły się gry korporacyjne. Każdy chciał odgryźć swój kawałek chwały.

Feministki napisały, że to była kobieca rewolucja. I natychmiast wyjechały.

Postępowi liberaloście napisali, że to była ich rewolucja, która wszystkich wyzwoliła, więc teraz wszyscy są wolni. Konserwatyści byli bardziej podejrzliwi. Nie wątpili w bohaterstwo narodu, natomiast liderzy wyraźnie byli nie tacy, jak trzeba, i prowadzili nie tam, gdzie trzeba. Wahali się: czy chwalić naród, czy potępić „przypadkowych przywódców”?

Byli jeszcze twórcy. Mieli swoje zdanie.

Tragikomiczność sytuacji polegała na tym, że wszyscy mieli rację.

Feministki, liberaloście z konserwatystami, a nawet poeci.

Wszystkim rewolucja dała więcej, niż było to możliwe. Ale tylko na pewien czas.

Teraz ten czas wyraźnie minął. I byliśmy tym przerażeni. Tym, że rzeczy, które wyglądały jak złoto i błyskotki na arenie rewolucji, w świetle nowej epoki okażą się blichtrzem i podróbką.

Wszystko osiągnęło punkt kulminacyjny, a następnie płynnie, po spirali spadło w dół. W strefę komfortu, szarej zwyczajności. Wróciło na właściwe tory. Można było rozejrzeć się i dokonać podsumowania. To, co zobaczyliśmy, nie nadawało się dla osób o słabych nerwach.

Stanęliśmy w ruinach. Po asfalcie dudniły rosyjskie czołgi. Nie było jasne, czy to już długotrwała okupacja, czy jednak jest jeszcze szansa.

Rozgrywki korporacyjne ucichły. Nikt już nie pisał, że to „my”. Rzeczywiście, w więzieniach siedziało ponad tysiąc zakładników. Jedna połowa kraju szczerze nienawidziła drugiej. Zachłystujący się emocjami dziennikarze pisali o wojnie.

Jak do tego doszliśmy? Po różach i uściskach, picciu herbaty na podwórkach¹ i słodkich smaczkach o zwycięstwie. I jeszcze jedno. Pytanie, które baliśmy się zadać nawet szeptem: kto weźmie odpowiedzialność za to wszystko?

1 Tuż po wyborach prezydenckich w 2020 r. (a w niektórych wypadkach nawet przed nimi) Białorusini i Białorusinki zaczęli się gromadzić na czatach na Telegramie, grupujących mieszkańców poszczególnych dzielnic, ulic czy nawet bloków. Służyły one do planowania działań, np. w ochronie przed aresztowaniami podczas masowych protestów. Później obok niedzielnych głównych protestów pojawiły się wieczorne inicjatywy obywateli, organizowane np. w dzielnicach miast

To jest bardzo dobra uwaga, ta o rybach, napisałem na czacie.

Tylko że nie jestem ichtiologiem. Jestem rybą.

Wydaje mi się więc, że najwyższa pora wypłynąć na głębinę.

Jeszcze wczoraj Mińsk przypominał międzywojenny Paryż: pojawiały się i znikaly kawiarnie, książki i performanse spadały jak z nieba, programiści² pomagali kotom i psom, klasa średnia kupowała nieruchomości i podróżowała.

Jak i dlaczego to wszystko zniknęło?

Jak i dlaczego władza, która prawie zwyciężyła, skupiała na sobie wszystkie formy sprzeciwu, nagle burzy własny projekt i wesolym krokiem idzie ku samobójstwu, zaganiając po drodze wszystkich do obozu koncentracyjnego imienia Giorgia Agambena?

„To wszystko jego wina” – mówi A. Dyrektora Gazprombanku³. Trzeba być totalnym idiotą, żeby uwierzyć, że naprawdę zamierzał wygrać, nie mówiąc o rewolucji. W najlepszym wypadku, najbardziej optymistycznym, uszczknąć swoje 10 procent i zasiąść w parlamencie. Z białymi wstążkami oraz ze wsparciem Rosji.

– wieczory picia herbaty. Autor tekstu posługuje się tu kolokwialną, odczasownikową formą, która faktycznie znaczy „pic herbatę na podwórkach”. Nie było to jednak wyłącznie wspólne spożywanie tego napoju. Mieszkańcy miast organizowali rozrywki dla dzieci, zapraszali muzyków, którzy popierali protest (wielu z nich potem opuściło Białoruś właśnie dlatego, że zostali zauważeni albo nawet aresztowani na jednym z takich zgromadzeń), urządzali głośne czytanie białoruskich książek itp. (przyt. tłum.).

- 2 *Ajciszniki* – pracownicy IT mocno angażowali się w protesty w Białorusi w 2020 r., co rozjuszyło reżimową władzę, która dużo inwestuje w rozwój tego sektora. W związku z represjami pojedynczy pracownicy tej branży, a nawet całe firmy zmuszone zostały do opuszczenia Białorusi i przeniesienia siedzib do innych państw (np. do Polski, gdzie działa program wizowy Poland Business Harbour, który pomaga białoruskim pracownikom IT w miarę szybko przeprowadzić się do Polski i kontynuować działalność) (przyt. tłum.).
- 3 Prawdopodobnie chodzi o opozycjonistę i bankiera Wiktara Babarykę, dyrektora białoruskiej filii Gazprombanku, który miał stanąć do wyborów przeciwko Aleksandrowi Łukaszence w 2020 r. M.in. wieloletni lider Białoruskiego Frontu Ludowego Zianon Paźniak ocenił Babarykę jak osobę o poglądach pragmatycznych i prorosyjskich, gotową do rozwoju współpracy z Rosją. W czerwcu 2020 r. sztab wyborczy Babaryki zebrał wymaganą liczbę podpisów niezbędną do rejestracji kandydatury, została ona jednak odrzucona, konto funduszu wyborczego zamrożone, a sam kandydat – niedługo później aresztowany. W lipcu 2021 r. zakończył się proces w tzw. sprawie Bielhażprambanku, w której Babaryka został uznany za winnego przyjęcia łapówki (przyt. red.).

Najstraszniejsze, gdyby mu się to udało. Wtedy mielibyśmy kraj nie z dwóch stron, jak teraz, lecz tylko z jednej. Więzienia też byłyby pełne, ale siedzieliby tam „ci wasi nacjonaliści”.

„Teorie spiskowe – mówi B. – Takie rzeczy się nie zdarzają”.

„Tak, spiskowe – zgadza się A. – Ale nie takie rzeczy się zdarzają”.

„Po prostu postkomunizm się skończył” – mówi C.

Dziesięciolecia katastrof i rozczarowań, które zajadaliśmy czekoladkami. Przez prawie trzydzieści lat żyliśmy podkarmiani emocjami, oczekiwaniami. Jeszcze trochę i zwyciężymy. Będzie inna władza. To wszystko kusilo. Chociaż od razu było jasne: nie ma żadnego „my”, które zwycięża. I władza nigdy nie jest „nasza”. Gdy tylko pojawiali się „nasi”, działo się z nimi coś dziwnego i natychmiast stawali się „nie naszymi”.

Zaczynało się od poczucia radości. Przyszłość jest bardzo bliska, nadeszła już dla naszych sąsiadów. Teraz trzeba tylko dobrze odrobić zadanie domowe. Być takimi samymi jak wszyscy.

Potem historycy napiszą, że klasa średnia na Zachodzie od 1972 roku spadała na dno. Że za fasadą kryły się nierówność i niesprawiedliwość. Że wszystko było zepsute. A po 2008/2009 roku na naszych oczach zaczęło się sypać. Że Europa Wschodnia zbyt wcześnie się cieszyła, kiedy na starych barkasach podpłynęła do olbrzymiego liniowca z orkiestrą na górnym pokładzie. Bo to był Titanic.

„Zło pod mikroskopem – mówi C – to najbardziej istotne”. Oto główny wynik, dla nas i całego świata. Nagle zmieniła się optyka i dla wszystkich stało się oczywiste, w całej swojej ohydności: w świecie panoszy się zło.

Cokolwiek tam sobie piszą ichtiolodzy, ja sam znam główną tajemnicę białoruskiej rewolucji. Ale nie powie się o niej nawet szeptem. Wypowiedziane słowa natychmiast zmieniają swój sens. A te napisane w ogóle nie są tymi właściwymi. A jednak próbuję.

Było to Powstanie Ryb. Rewolucja Antypolityki.

Nie napaść, nie przejęcie władzy, lecz udane opuszczenie Zamku. Ucieczka w przyszłość.

Przeszłość zawsze jest projektem społecznym. Wspólną pamięcią, którą można łatwo manipulować. Z przyszłością zaś jest trudniej. Przyszłość jest nadzieją. Tęsknotą. Oraz być może wiarą.

Przyszłość odsłania się nie dlatego, że ktoś ją wymyślił lub skonstruował, lecz dlatego, że w duszy człowieka jest na to miejsce. I ono reaguje. Na dobroć. Na radość.

W tym sensie bezcelowe i bezsensowne spacerowanie ulicami nie są aż tak głupią sprawą: odzyskać przyszłość – to był prawdziwy sens rewolucyjnej ucieczki.

Ci, którzy poszli, nie wrócą.

Właśnie tylko to ma sens, dla każdej rewolucji: żądać niemożliwego.

Płynąć wysoko razem z wiatrem, falami podmywać mury, próbować wolności razem z chmurami.

Nie dopasowywać się do niczego, iść osobno. Zawsze być naprzeciw, nie przeciwko.

Nie opierać się żywiołom, ale wykorzystać ich moc.

Stworzyć nowe zasady kierowania się rozumem.

Zakazać geopolityki i postprawdy.

Przepisać dziennikarzom obowiązkowy kurs medytacji za próbę targania emocjami.

I powtarzać na zajęciach w szkole podstawowej: nie jesteśmy ichtiologami. Jesteśmy rybami.

3. Zatonęła

– Panie prezydencie, co się stało z Rosją?

– Zatonęła.